

Mordowar jako nie(piektło) sztuki

12 października 2022



O spektaklu „Sonata Belzebuba” Stanisława Ignacego Witkiewicza w reż. Radka Stępnia w Teatrze im. Jaracza w Łodzi pisze Wiesław Kowalski.

Kłopoty teatralne z wystawianiem dramatów Witkiewicza i znalezieniem aktorskiego ekwiwalentu dla jego hiperbolicznego języka znane są od lat. I choć trudno odmówić zwłaszcza formalnego nieprzemyślenia czy braku konsekwencji w ostatniej realizacji Radka Stępnia w Teatrze Jaracza w Łodzi, jego „Sonata Belzebuba” nie jest przedsięwzięciem do końca udanym.

U autora „Szewców” mamy do czynienia z groteskowym traktowaniem schyłkowej rzeczywistości, która kompromituje się nie tylko sama w poszukiwaniach możliwości do zaistnienia w sztuce, ale ów proces dotyka też tych, którzy próbują tej rzeczywistości dawać odpór. Reżyser musi zatem znaleźć równowagę między tymi dwoma zjawiskami, bo od tego w dużej mierze może zależeć inscenizacyjny sukces. W przedstawieniu Stępnia ta równowaga wydaje się być mocno zachwiana, choćby z powodu rezygnacji reżysera z elementów, które mogłyby się stać kąśliwie parodystycznym spojrzeniem na familijno-łóżkowe perturbacje bohaterów z odrobiną elementów farsowych w tle, traktowanych oczywiście ironicznie. Trudno je dostrzec nawet w kreowaniu sfery namiętności protagonistów czy też w samych conceptach rozgrywania kolejnych morderstw.

Tymczasem w łódzkim spektaklu, owszem wysmakowanym estetycznie (scenografia Konrad Hetel), tych pierwiastków zbyt wiele nie odnajdziemy. Od początku akcja toczy się bardzo leniwie, wręcz statycznie, i tylko dzięki talentowi Izabeli Noszczyk (Babcia Julia), a także staraniom Pawła Paczesnego (Istvan) jesteśmy w stanie nie popaść w znużenie. Mordowarska atmosfera wieczoru w I akcie i toczony w świetle świec rozmowy rozpadają się na poszczególne kwestie, jakby zupełnie od siebie oderwane. Wszystko zdaje się toczyć niczym od kwestii do kwestii, tym samym nie konstruując przemyślanej w sensach dramatycznej struktury.

Diametralna zmiana w dynamice następuje dopiero z wejściem Mikołaja Chroboczka jako Baleastadara-Baltazara i to on tworzy w tym spektaklu najciekawszą aktorsko postać. Zarówno jako orędownik dekadencji w sztuce, apologeta tragedii artysty, nie mogącego osiągnąć spełnienia, jednocześnie człowiek będący świadomy tego, jaki charakter, najczęściej mocno drugorzędny, nawet uwłaczający, może przybrać w tym świecie sposób na wyrażanie siebie w sztuce. Ubrany w długie futro Chroboczek udanie rozpościera swoją postać między demonizmem a kabotyństwem, które wraz z zastosowaniem dystansu budują w konsekwencji całą złożoność kreowanej postaci. Paczesnemu też momentami udaje się pokazać walkę jaką toczy w nim dekadent z kabotyńcem, a może przede wszystkim to, jak bardzo w swojej naiwności i niedojrzałości poddaje się zabiegom manipulacji.

Generalnie aktorzy w tej inscenizacji w swoich scenicznych działaniach raczej nie przechylają się w stronę komizmu. A wiadomo, że takie traktowanie witkacowskiej materii przynosiło niekiedy pozytywne rezultaty, jak choćby w przedstawieniach realizowanych w latach 80. przez Jerzego Krasowskiego. W Jaraczu dość blado wypadają zwłaszcza Mateusz Czwartosz jako Salayi czy Natalia Klepacka w roli Krystyny. Mamy zatem w tym przypadku do czynienia z czymś co absolutnie nie śmieszy, jednocześnie nie razi powagą zawartych spekulacji. A już na pewno nie współbrzmi z tym, co hic et nunc.

fot. Krzysztof Bieliński

Komentarze